

Kronika tyranii

Człowiek węgierskiego renesansu teatralnego, Béla Pintér (rocznik 1970) jest postacią bardzo mocno polaryzującą widzów, gdyż w swoich dramatach konsekwentnie porusza bardzo ciężkie problemy, które podkreśla do tego specyficznym czarnym humorem, obrazującym niezauważalne przejścia od władzy do przemocy lub odwrotnie. Jeden z trzech twórców all-round znad Balatonu (wraz z Viktorem Bodó i Zoltánem Balázs'em), sam często gra główne role w napisanych przez siebie sztukach, które do tego reżyseruje. O ile przygotowany przez Pintéra spektakl "Szmata", prezentowany na ostatnim Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym Kontakt, swoją ludowo-baśniową konwencją wprowadził widownię w percepcyjny niesmak, o tyle jego dramat "Królowa ciast" w Teatrze im. Wilama Horzycy pokazał, jakim jest świetnym dramaturgiem. Również sama inscenizacja w reżyserii Uli Kijak zaskoczyła bardzo pozytywnie: słowa w ustach aktorów Horzycy dawno nie brzmiały tak autentycznie i przejmująco.

Akcję "Królowej ciast" Pintér umieścił w czasach swojego dzieciństwa, w rodzinie tyranizowanej przez jej głowę: Stefana Kosára, alkoholika i podpułkownika milicji. Połowa lat 80-tych, ale masa zakazów komunistycznej władzy u tej rodziny pozostaje jednak za drzwiami. Wraz z siedmioletnią Eriką (ciekawa rola Mirosławy Sobik), powoli wchodzimy w świat groteskowy oraz surrealistyczny wytwór wyobraźni dziecka, budowany z marzeń dziewczynki tuż przed jej urodzinami. Takie zachowanie to jedyny ratunek przed kolejnym atakiem ojca - potwora, którego jeszcze nie widać, pracuje ciężko uwięziony w kieracie, ukryty pod hełmem, by nie słyszał, o czym mówi jego rodzina. Jak komunikują się zimnymi zdaniem, paraliżowani strachem: matka Olga (Maria Kierzkowska), ciotka Anikó (Jolanta Teska), kuzyni Tibi i Zoli, dziadek (Niko Niakas) oraz upośledzony wujek Feri z kartonem na głowie (Grzegorz Wiśniewski). Makabryczno-komiczne maski pojawiły się już w "Szmacie", tam skrywały prawicowych oprawców, w "Królowej ciast" zaś maska daje schronienie ofierze. Kat na razie również ukrywa swoją twarz, ale po powrocie do domu pokaże wszystkim, na co go stać. Mała Erika tymczasem z zamieszonej na linie opony prowadzi dość prowokacyjnie mroczny dialog z nauczycielem Panem Ludwikiem (Michał Marek Ubysz), podczas gdy jej równie zastraszeni kuzyni swoim zachowaniem wywołują śmiech widowni. Zoli (świetny Łukasz Ignasiński), obleczony kilkoma grubymi swetrami, z pióropuszem nadmuchanych rękawic lateksowych na głowie, wyjątkowo złośliwie dokucza bratu - Tibi (udany debiut Macieja Raniszewskiego) - kłamie, kradnie pomysły i jest wyjątkowo prawdziwy w swojej roli. Rolami chłopców reżyser Uli Kijak udało się idealnie podkreślić wachlarz pintérowskich postaci, które śmieszą, przerażając jednocześnie. Tak było również w pokazywanej na Kontakcie w 2005 roku "Operze chłopskiej" tegoż autora. Tam kazirodztwo i dzieciobójstwo, w "Królowej ciast" tylko przemoc rodzinna. Tylko? Przecież to początek, to stan, w którym ofiara staje się całkowicie bierna. Sparaliżowana strachem już wie, że "z otwartej dłoni łatwo powstaje pięść" i tylko pragnie, by cios nie był zbyt mocny. Wtedy pojawia się ojciec (Paweł Tchórzelski), ten co się stara, by rodzinie niczego nie zabrakło, także jego dyscypliny. Bez szarżowania, najbardziej przerażającej wówczas, gdy jest uśmiechnięta.

Mimo inscenizacyjnej "nierealności" przedstawienia, całość brzmi niezwykle sugestywnie. Prowokacyjne ataki Stefana w zaczepkach, szyderstwach z żony, wmawianiu "przestępstw" członkom rodziny, wreszcie umizgach ofiar i ich smutnym tańcu - to jedne z najważniejszych obrazów pozostających w głowie po obejrzeniu spektaklu. Ich rejestr trafia we współczesną wrażliwość teatralną: reżyser Uli Kijak za autorem (bez moralizatorskiego szyderstwa), oryginalnym prowadzeniem toruńskiego zespołu perfekcyjnie naznacza "przyzwolenie" na

przemoc. Groteskowa tragedia rodziny Kosár nie ma niestety happy endu: całość w drugiej połowie mocno puchnie i zapętla się do najgrubszych pokładów bezsilności. Wówczas Erika czarodziejskim znakiem zatrzymuje akcję w najbardziej niebezpiecznym momencie i dalej buja w obłokach na swojej huśtawce. Rozmaitość stosowanych przez reżyser środków teatralnych oraz fantazyjna scenografia Dominiki Skazy sprawiają, że trudno zarzucić "Królowej ciast" tak charakterystyczną dla Pintéra stylistykę kampu. W przeciwieństwie do "Szmaty", toruński spektakl "nie jest tak zły, że aż dobry" - on jest po prostu dobry. Poprzez absurdalny wydźwięk nie wywołuje wstrząsu, a aktorsko odbija tendencje panujące bardziej w teatrach Berlina niż Budapesztu. Nie ma w nim ani jednej słabej roli, wprawdzie pojawia się nieco dłużyzn, a z widowni ustawionej na dużej scenie nie widać wszystkiego, to jednak "Królowa ciast" może być impulsem do pozytywnych zmian w Teatrze im. Wilama Horzycy.

Aram Stern
Teatr dla Was
Link do źródła
23-05-2013